

Peck & Peck

BONNIE GARMUS

.....
PRZEŁOŻYŁA
KAJA GUCIO

MARGINESY

Peck & Peck

COPYRIGHT © 2026 BY Bonnie Garmus

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Kaja Gucio

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

*Dla Davida, Zoë i Sophie – współzałożycieli Fantastycznej Czwórki
i moich trzech ulubionych osób na całym świecie*

Peck [pek] – (ang.) dziobać, całować, stukać w klawisze, czepiać się

Pecking order ['pekɪŋ ˌɔːrdər] – (ang.) dosłownie: porządek dziobania, hierarchia ważności członków rodziny lub firmy

Feeling peckish ['fiːlɪŋ 'pekɪʃ] – (ang.) skubać bez apetytu, łaknąć czegoś

1.

Nazywano mnie w swoim czasie złodziejem, buntownikiem, karierowiczem, zdrajcą oraz, co przy tych poprzednich określeniach nikogo chyba nie zdziwi, więźniem numer 83A0956.

Ale najczęściej mówią do mnie Batter. To dobre, rodowe imię, przekazywane z pokolenia na pokolenie niczym cenny pierścion, tyle że nie po ojcu ani dziadku, ani nawet po jakimś ważnym dalekim krewnym, ale po psie.

Nie poznałem psa, po którym je odziedziczyłem. Umarł tuż przed moim urodzeniem. Zawsze się jednak zastanawiałem, czy nie wolalby się nazywać inaczej. Ares, Lucky. Może Rex. Kłopot polega na tym, że Batter to właściwie nie tyle imię, ile słowo. Jedni uważają je za snobistyczne, jak Banks czy Bennett, inni upierają się, że musi mieć obce korzenie. Jeszcze inni pytają (ostrożnie), czy ma coś wspólnego z Batmanem albo batem.

Poza imieniem cechuje mnie jeszcze jedna osobliwość. Jestem bliźniakiem jednojajowym. Rzadko o tym wspominam, nie bez powodu: mój brat urodził się martwy. Zanim mnie pożałujecie, wiedźcie, że to samo spotkało Elvisa Presleya, jego brat również nie przeżył. Bywają w życiu rzeczy, nad którymi nie panujemy, i niczyja to wina. A mimo to za każdym razem, gdy słyszę *I'm So Lonesome I Could Cry*, ten wielki hymn samotności, rozumiem, dlaczego Elvis to nagrał.

O tym, za co siedzę, właściwie nie powinienem mówić bez adwokata, ale jedno mogę wam zdradzić: kiedy jakiś współwięzień mnie o to wypytuje i mu opowiadam, widać, że nie robi to na nim

wrażenia. Dopiero gdy dodam, że było to w gruncie rzeczy moje drugie przestępstwo, bo pierwsze popełniłem w latach sześćdziesiątych i chodziło o narkotyki, zyskuję odrobinę szacunku.

2.

Wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku miałem dziesięć lat i, jak donosiły wiadomości, świat schodził na psy. W Wietnamie szalała wojna, hipisi palili trawkę, pastele blakły, neony płonęły, a w radiu pełno było ludzi, którzy wrzeszczeli i tłukli w bębny.

Jedyną osobą, która nie sądziła, że świat schodzi na psy, była moja matka, Rainey Gray, lat czterdzieści dwa, zawodowa projektantka krojów pisma. Za męża miała mojego ojca, Johna Graya, lat czterdzieści sześć, historyka z miejscowego college'u i zwolennika teorii, że świat schodzi na psy.

– Co im, do diabła, strzeliło do głowy? – krzyczał tata do telewizora, kiedy rozpylano Agent Orange, płonęło Detroit i ginęli astronauty. – Dosyć! – żądał, ilekroć kolejna pokazana w telewizji tragedia obnażała starą prawdę, że ludzkość rzadko postępuje po ludzku. Jego oczy chłoneły następne potworne wydarzenia, którego nie zdołał powstrzymać, a które już na zawsze miał dźwigać jako brzemię, bo wypadło mu tłumaczyć je przyszłym pokoleniom. Taki już los historyków, nikt nie traktuje poważnie ich lekcji z przeszłości.

– Coś strasznego – przyznawała matka. – Ale ludzie przynajmniej wychodzą protestować. Przynajmniej wyrażają sprzeciw. A z fachowego punktu widzenia te transparenty wcale nie są złe. Napis NIE DLA WOJNY odczytasz z kilometra. To zresztą zasługa Geoffreya Lee. On zaprojektował ten krój. Nazywa się Impact. Doskonale się go czyta z dużej odległości.

Moja matka wiedziała o typografii wszystko.

– Krój pisma – tłumaczyła nieraz – jest równie podstawowy jak fizyka, a każdy kształt litery równie elementarny jak atom. Opiera

się na nim cała komunikacja pisemna. Chcesz coś zmienić, ustaw litery we właściwej kolejności. Najpierw słowo, potem zdanie. Litery, w odpowiednim szyku i o odpowiednim kroju, najlepiej skłaniają ludzi do podejmowania lepszych decyzji. Wybieraj. Działaj.

Moja mama kładła duży nacisk i na wybór, i na działanie. Jak się okazuje, moralność wymaga jednego i drugiego. Ale przestępczość także.

– Cześć, skarbie – zawołała, kiedy wróciłem ze szkoły.

Chodziłem do czwartej klasy podstawówki Franklin Elementary w Yuba City w Kalifornii, miasteczku w gorącej jak piekło Dolinie Kalifornijskiej, jakieś sześćdziesiąt kilometrów na północ od Sacramento. W Yuba City wznosi się Sutter Buttes, najmniejsze pasmo górskie świata. Zawsze byłem z tego dumny.

– Jestem tutaj – dodała.

Zostawiłem plecak w przedpokoju i wszedłem do kuchni. Sie-działa ze spuszczoną głową przy stole, otoczona stertą kapsulek.

– Potrafię je otworzyć – mówiła, pokazując, jak rozdziela kap-sułkę na pół. – Potrafię wysypać – dodała, strząsając zawartość do kosza. – Potrafię nawet napelnić z powrotem – powiedziała, wskazując pudełko cukru pudru. – Ale za nic nie umiem ich złożyć. Chyba zmienili konstrukcję. – Zerknęła na zegar, odgarnęła grzywkę na bok i dalej robiła swoje.

– Co to? – spytałem niepewnie.

– Moje lekarstwo.

Moja mama cierpiała na coś, co nazywało się nerwami. Nie wie-działem, co to są te nerwy, tylko że z jej nerwami jest jakiś kłopot.

– Ale nie powinnaś go zażywać?

– Powinnam, tylko nie lubię. Czuję się po nim okropnie.

– To czemu po prostu nie powiesz lekarzowi, że go nie lubisz?

– Mówiłam, ale lekarze mają się za bogów. Nigdy nie słuchają.

Opowiedz mi o szkole – poprosiła. – Nauczyłeś się czegoś? – Miała na sobie jaskrawopomarańczową sukienkę, w której w pewnym świetle jej rude włosy wyglądały jak rozżarzone węgle. Sukienka się-gała tuż nad kolano, a zdobiły ją dwa duże, jaskrawe, współśrodkowe

koła, jedno fioletowe, drugie różowe. Mama mówiła na to „ruchomy cel”. Zwykła przy tym zauważać, że inne matki nie przyjęły mody roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego z takim zapalem jak ona, ale że dobrze rozumie, iż nie każdy czuje się swobodnie, rzucając się na głęboką wodę, czy to w jedzeniu, czy w modzie, czy w czymkolwiek innym.

– Ale nie napytasz sobie biedy, mamó, jak nie będziesz tego brała?

– A niby dlaczego, skarbie? – odparła, wstając. – To moje ciało. Odłożyłem kapsułkę.

– Ale to nie jest twoje lekarstwo na nerwy?

– Owszem – powiedziała – tylko że z moimi nerwami wszystko dobrze. Jeśli przestajesz się nawet denerwować, to tu dopiero się zaczyna bieda. Masz. Zobacz, czy uda ci się złożyć te dwa końce. – Patrzyła, jak próbuję. – O, świetna robota! – Uśmiechnęła się do mnie i ruszyła w stronę zlewu. – W każdym razie – ciągnęła – to lekarstwo nie jest dla mnie, tylko dla twojego ojca. Ja je biorę, jemu robi się lepiej. Twój ojciec cierpi na lęk, Batter. Większość historyków tak ma. A to dlatego, że zajrzeli w przeszłość i wiedzą, że przyszłość będzie jej powtórką.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo ludzie nigdy się nie uczą, skarbie.

– Ale tata mówi, że historycy opowiadają ludziom o przeszłości, żeby się uczyli. Żeby nie powtarzali w kółko tych samych błędów.

Mama odwróciła się powoli.

– Tak, a co roku ci sami historycy, którzy przy okazji bywają ojcam, wmawiają swoim dzieciom, że gruby facet w drogim aksamitnym płaszczu wejdzie przez brudny, wąski komin i wniesie gadające lalki prosto w buchający ogień piekielny. – Wróciła do stołu i wzięła dwie połówki kapsułki, do jednej wysypała odrobinę cukru. – Pracuj dalej – powiedziała. – Musimy skończyć, zanim tata wróci.

– Ale wciąż tego nie rozumiem – wyznałem z niepokojem, składając kapsułkę z powrotem. – Czemu tacie robi się lepiej, kiedy ty łykasz te pigułki?

– Lęk to skomplikowana sprawa – odparła, znów siadając obok mnie. – Twój ojciec, poza tym, że jest historykiem, cierpi też na kompleks winy.

– Co to takiego?

– To wtedy, kiedy ktoś popełnia błąd, przyznaje się do niego, a mimo to nie umie sobie tego błędu wybaczyć. Gdyby istniał egzamin z wybaczenia, czy to sobie, czy innym, większość ludzi dostałaby pałę.

– Jaki bł...

– Samo przyznanie, że popełniło się błąd, nie przychodzi łatwo – ciągnęła, puszczając moje pytanie mimo uszu. – Nasze mózgi lepiej sobie radzą z wykręcaniem się od odpowiedzialności niż z braniem jej na siebie. Niektórzy potrafią nawet wmówić sobie, że błąd wcale nie był ich, albo, uwaga, że w ogóle żadnego błędu nie popełniono. Naopowiadasz sobie dość historyjek, skarbie, i zgadnij co: niedługo w nie uwierzysz. To się nazywa samooszukiwanie.

– Czyli tata...

– Przyznał się do błędu, pogodził się z błędem, przeprosił za błąd, a mimo to wciąż sobie tego błędu nie wybaczył, choć ja mu wybaczyłam. To go gryzie. Stąd kompleks winy, stąd lęk. Więc biorę te cukrowe pigułki – podniosła jedną dla przykładu – a jemu robi się lepiej. Bo myśli, że mi pomaga. Bo myśli, że ukoją moje nadszarpnięte nerwy, które ucierpiały przez niego. Przyznaję, na początku faktycznie tak było, ale doszły do siebie. Jak mówiłam, najgorsze jest, kiedy już w ogóle się nie denerwujesz. Nie zamierzam dowodzić, że pigułki z cukrem to najrozsądniejsze podejście na świecie, ale jak wspominałam, lęk to skomplikowana sprawa. Z małżeństwem tak samo.

Przypomniałem sobie, że zaledwie tydzień wcześniej w Wietnamie zginął jeden z dawnych uczniów mojego ojca. Tata, powstrzymując łzy, warknął na mnie, zaszeleścił gazetą i burknął coś o tym, że najlepsze jednostki zawsze umierają młodo. Potem spojrzął na matkę jakoś tak dziwnie i tak smutno, że aż mi ścisnęło żołądek. Mój bliźniak umarł młodo.

– Rainey, wzięłaś lekarstwo? – spytał, a ręce mu drżały.

– Jeszcze nie – odparła, wstała i zniknęła w łazience, a potem wróciła z różową kapsułką i szklanką wody.

Kiedy połknęła pigułkę, ramiona ojca rzeczywiście się rozluźniły i po kilku minutach znów wszystko z nim było w porządku. Nie działo się tak tylko wtedy, gdy rozmowa schodziła na Battera, tego psa, którego imię nosiłem. Ilekroć pies się w niej pojawiał, tata wychodził z pokoju.

– Czy psy mogą dostać lęku, mamó? – spytałem.

– Nie jestem pewna, czy lęku się dostaje, raczej się go odczuwa. I zwykle bierze się z traumy, ze zmartwień, ze złych doświadczeń, z nadmiaru wyobraźni, z wątpliwości, ze strachu, z gniewu, z wypadków, z rozczarowań albo z nadmiaru kawy.

Moja mama piła dużo kawy.

– Lęk czuje każdy – ciągnęła. – To rzecz oczywista. Ale występuje w ogromnej liczbie odmian i jedni mają go więcej niż inni. Sportowcy miewają tremę przed występem, aktorzy tak samo. Artyści odczuwają lęk, bo ich praca jest subiektywna, a to znaczy, że nie da się zmierzyć jej prawdziwej wartości, a to z kolei oznacza, że jednym morderstwo uszłoby płazem, a innych zwyczajnie należałoby zamordować, rozumiesz, o co mi chodzi? Choćby ci poeci, których czytasz. Niespokojne towarzystwo, głównie dlatego, że wiedzą, iż w hierarchii sztuk poezja jest na samym dnie i że nigdy nie zarobią ani grosza. Brak pieniędzy naprawdę wpędza ludzi w lęk. Podobnie jak wojna, rodzina, głośnie dźwięki, rewolucja przemysłowa, genetyka, testy na czas, kiepska dieta, brzydka pogoda i kultura korporacyjna. Czytałeś *Erę niepokoju* Audena? Nie? Nie martw się, nie tylko ty. Jak brzmiało twoje pytanie? Czy psy odczuwają lęk? Tak. Ale nie Batter.

– Lubię Audena.

– Tak?

Owszem. Jak większość dzieci zaczynałem od wierszyków Dr. Seussa, ale w przeciwieństwie do większości dzieci ja na nich nie poprzestałem. Sam nie wiem czemu. Chyba po części dlatego, że podobało mi się, jakie te wiersze są krótkie, a przy tym jak wiele kryją w sobie tajemnych przesłań do rozszyfrowania. Żeby dotrzeć do takiego

przesłania, trzeba było czytać wiersz raz za razem, naprawdę się zastanowić, rozumiecie? Weźmy choćby Audena. Napisał: „Zło jest niepozorne i zawsze ma ludzką postać, / dzieli z nami łóżko i jada przy naszym stole”. Z początku myślałem, że przez słowo „niepozorne” chciał powiedzieć, że zło to żadna wielka sprawa. Ale potem zrozumiałem, że Auden mówi coś innego: nie marnuj czasu na strach przed potworami spod łóżka, bo są niczym przy tych prawdziwych. Stalin, Lee Harvey Oswald, każdy dręczyciel pod słońcem.

– Właściwie to się mylę – powiedziała mama i stuknęła mnie w ramię, żeby ściągnąć mnie z powrotem do kapsulek. – Batter był niespokojny tego dnia, kiedy go wzięłam. Pewnie dlatego, że się zastanawiał, gdzie jestem.

– Jak to? Skąd Batter miałby wiedzieć, że przyjdiesz?

– Nie powiedziałam, że pies wiedział, że przyjdę. Powiedziałam, że pewnie się zastanawiał, gdzie jestem. Takie właśnie jest życie, skarbie. Nie da się przewidzieć, kiedy co nadejdzie. Wiesz tylko, że coś się zbliża.

Zawahałem się i spróbowałem wyobrazić sobie całą tę scenę. Moja mama poszła do schroniska, wzięła psa, przyniosła go do domu, oznajmiła rodzicom, że sprawiła to nieprzewidywalność życia, a oni na to: „Jasne, skarbie”? Wykluczone. Dziadków widziałem tylko raz, ale nie wyglądali mi na ludzi, którzy mówią „jasne, skarbie”.

– Zawsze mówiłaś, że dziadek i babcia nie lubili zwierząt.

– Każdy ma swój słaby punkt.

– Ale pozwolili ci wziąć Battera.

– „Pozwolili” to może niewłaściwe słowo.

Wysypała zawartość jeszcze kilku kapsulek.

– Słuchaj – powiedziała – już ci to kiedyś opowiadałam. Nie poszłam do schroniska dlatego, że miałam ochotę. Poszłam, bo musiałam, bo gdybym nie poszła, Batter nie mógłby dokonać tych wszystkich ważnych rzeczy, których miał dokonać.

– Na przykład?

– Na przykład bohaterskich czynów.

Przewróciłem oczami.

– Nie kpij – zgała mnie. – Bycie bohaterem to ciężki kawałek chleba. Nikt się z tym nie rodzi, to nie magia. Bohaterem może być każdy, tyle że większość nie jest gotowa na poświęcenie.

– Wiem, mamie, ale pies?

– Pytasz, jak pies zostaje bohaterem. To bardzo dobre pytanie, a odpowiedź jest prosta: ma pomoc. Wszyscy zawodowi bohaterowie mają pomoc. Jak w twoim komiksie o Batmanie. Batman ma pomoc. Ma... Jak się nazywa ten komisarz?

– Komisarz Gordon.

– I ten młody człowiek.

– Robin, Cudowny Chłopiec.

– Właśnie, ma komisarza Gordona i Cudownego Chłopca. Choć nie do końca wiem, na ile ci dwaj tak naprawdę mu pomagają. Mam wrażenie, że to komisarz zawsze prosi o wsparcie, a Robin to raczej bohater stażysta. Nie robi prawie nic.

– Czyli mówisz, że Batman nie ma pomocy – powiedziałem, dociskając do siebie dwa końce kapsułki.

– Ma. Tylko że prawdziwej pomocy udziela często ktoś, kogo się najmniej spodziewamy. Ta jedna osoba, którą wszyscy lekceważą. W tym wypadku Alfred, kamerdyner.

– Nie, Alfred odkurza rezydencję.

– Też. A do tego pierze ręcznie kostiumy Batmana, poleruje batmobil, poleruje batślup i przyrządza wykwintne obiady, a przy okazji sprawia, że domostwo milionera Wayne'a wydaje się światu zupełnie zwyczajne. A nie jest. Pomyśl tylko: Bruce Wayne po raz pięćdziesiąty znika z własnego przyjęcia koktajlowego, Dick Grayson nie umie wytłumaczyć, czemu nigdy nie chodzi do szkoły, wścibscy goście chcą wiedzieć, co, u diabła, wyprawia się w tej piwnicy. No więc kogo o to wszystko pytają? Alfreda. A on od ręki klei zestaw marnych wymówek, w które z jakiegoś powodu wszyscy od razu wierzą.

– Czyli Alfred to zawodowy kłamca.

– Nie, mówię, że Batman i Alfred stanowili zespół. Tak jak pies Batter i ja stanowiliśmy zespół. Robiłam to, co musiałam, żeby Batter mógł...

– Wypełnić swoje przeznaczenie.

– Właśnie! Teraz rozumiesz! – Chyba jej ulżyło. – W życiu, jeśli chcesz coś zmienić, możesz być Batmanem albo Alfredem. Obaj liczą się tak samo. – Zamiotła stół dłonią. – O, patrz, skończyliśmy!

I rzeczywiście skończyliśmy. Tyle że nie umiałem rozstrzygnąć, czy pomogłem mamie, czy jej zaszkodziłem, i cała ta sprawa napęłniła niepokojem także mnie.